

Danuta Kość
Droga do domu

Kochana Tosiu!

Swoim otwartym listem skierowanym do mnie, którego podstawą są wspomnienia z pobytu w Afryce, wycisnęłaś nie tylko łzy, ale i ożywiłaś wspomnienia tak bardzo już odległe. Czas zrobił swoje, bo od powrotu do kraju (luty 1947 roku) do chwili drugiego spotkania afrykańczyków z towarzystwa „Klubu pod Baobabem” (październik 1991 roku) nie prowadziłam rozmów o tym jakże bolesnym rozdziale mojego życia. Fakt milczenia spowodował, że część zdarzeń rozmyła się w upływie czasu. Pozwól, że do Twoich wspomnień dołączę swoje.

18 października 1942 r. jest datą wpisaną w modlitewniku z Pierwszej Komunii św., którą przyjęłam w Karaczi w Indiach. Sierociniec, gdzie przebywałam po utracie rodziców w lipcu 1942 r. w Uzbekistanie, usytuowany był na pustyni koło Karaczi. Wcześniej obóz ten zajmowały jednostki wojskowe. W przyspieszonym tempie przygotowano nas do tego podniosłego aktu wiary katolickiej. Do dziś pamiętam ołtarz przed niedużym namiotem i nas stojących gęsiego przed nim w długich i nieraz za długich „sukniach”, uszytych bez miary z kremowych prześcieradeł z surowego płótna. Szkoda, że nie zrobiono nam wtedy zdjęcia, bo widok byłby niepowtarzalny, a zarazem przepiękny. W tej miejscowości wydano mi makabryczny werdykt. Wyjeżdżając z Rosji (Uzbekistan), zachorowałam na oczy i tu zostałam zaprowadzona do angielskiego lekarza wojskowego, ponieważ miałam je opuchnięte, z dużą wydzieliną ropną. Diagnoza była wstrząsająca – oczy nie do uleczenia, a w konsekwencji ślepotą. Zgodnie z zaleceniem większość czasu spędzałam w namiocie, by ochronić oczy przed piaskiem i ostrym słońcem. W takim stanie zostałam zabrana z sierocińca przez panią, jej nazwiska nie pamiętam, na polecenie Twojej mamy, która wiedziała już, że moi rodzice nie żyją.

Do Afryki wyruszyłam z indyjskiego portu Bombaj niedużym

handlowym statkiem, płynącym najprawdopodobniej bez konwoju, bo go nie pamiętam. Było nas tam bardzo wiele. Spaliśmy na materacach ułożonych na podłogach w dość dużych pomieszczeniach. Nasza droga wiodła przez Ocean Indyjski, a działo się to na przełomie 1942 i 1943 roku, w okresie wysokich temperatur panujących w tym rejonie. Pamiętam, że część podróżnych na skutek upałów na noc przenosiła się wraz ze swoim pościelaniem na górny pokład statku, gdzie dość często zalewały nas niewysokie fale oceaniczne. Z podróży tej zapamiętałam dwa groźne zdarzenia. Jednego dnia na horyzoncie ujrzeliśmy statek poruszający się bez żadnych znaków rozpoznawczych, co skłoniło kapitana naszej jednostki do analogicznej postawy. W zaistniałej sytuacji w obawie przed zatopieniem wszyscy ubraliśmy się w kamizelki ratunkowe, gromadząc się na głównym pokładzie, a płynący z nami ksiądz przewodził błagalnej modlitwie o ratunek. Podobne zdarzenie nastąpiło wraz ze zlokalizowaniem w bliskiej odległości od naszego statku okrętu podwodnego. Na szczęście nie zostaliśmy zaatakowani i dalszą część podróży spędziliśmy bezpiecznie. Tak to dopłynęliśmy do afrykańskiego portu Mombasa, położonego na południe od równika.

Kolejny etap to długa, interesująca podróż pociągiem z Mombasy do Kampali, stolicy Ugandy, położonej po północnej stronie Jeziora Wiktorii. Dalej nasza wędrówka prowadziła przez 180 mil do obozu Masindi, usytuowanego w dżungli około 12 km od miasta o tej samej nazwie. Odcinek dzielący nas od tego miasta był praktycznie nie do pokonania, ponieważ nie istniała tu żadna komunikacja, a piesza wyprawa przez dziki busz była bardzo niebezpieczna.

Tak więc, Tosiu, znalazłam się w Waszej rodzinie, wśród przyjaciół, a działo się to z początkiem 1943 roku, i zamieszkałam w starym domku w wiosce nr 2 zbudowanej w całości z trawy słoniowej. Tak skończył się mój trzyletni okres walki o przeżycie. Decyzją Twojej mamy zostałam zapisana do czwartej klasy szkoły powszechnej (przed wojną ukończyłam drugą) i z tego powodu musiałam nadrobić brakujące wiadomości.

Rok szkolny w Afryce pokrywał się mniej więcej z rokiem kalendarzowym, zaczynał się bowiem 1 lutego i trwał do 15 grudnia.

Szkoła powszechna była sześcioklasowa. Nasi nauczyciele to przede wszystkim panie z solidnym przedwojennym wykształceniem. Nie posiadaliśmy żadnych pomocy naukowych, nawet książek. Do dyspozycji ucznia była tablica w klasie i własna pamięć. Naukę czytania prowadziliśmy wykorzystując fragmenty przeróżnych czasopism. Często zdarzało się, że edukację zaczynaliśmy od podstaw. Spowodowane to było ponad trzyletnią przerwą w naszym nauczaniu w trakcie pobytu na terytorium ZSRR, gdzie obowiązywał zakaz porozumiewania się dzieci między sobą w języku polskim. Złamanie tego zakazu na Syberii groziło zabraniem jednego z rodziców w nieznane. Nauka takich przedmiotów, jak religia, historia czy geografia opierała się na przekazach ustnych.

Oprócz nauki naszą wielką radością było uczestniczenie w zajęciach harcerskich, do którego to związku należała cała młodzież. Powołano wszystkie szczeble organizacyjne harcerstwa, począwszy od zastępu po hufiec. W trakcie zdobywania przeróżnych sprawności harcerskich niejednokrotnie przydawała się nasza samodzielność zdobyta w minionych latach. Wszystkie sprawności były pestką, no może z wyjątkiem pieczenia ciasta. Należy pamiętać, że zdobywanie sprawności odbywało się w nieznanym i nieprzychylnym nam otoczeniu, tzn. w dżunglii, gdzie wszelkiego rodzaju stworzenia były na przysłowiowym każdym kroku. Stykaliśmy się z kameleonami, mrówkami, termitami, olbrzymimi jaszczurami czy węzami.

Przypomina mi się tu jedna z nocnych zbiórek. Na stole wieczorem postawiłam w kubku odrobinę osłodzonej herbaty. Nocą, gdy wstałam na hasło zbiórki i spróbowałam napić się herbaty, zostałam ugryziona w wargę przez dużą, czarną mrówkę ok. 2–3 cm długości, co w konsekwencji spowodowało rozerwanie wargi i silne krwawienie.

Przynależność do ZHP łączyła się z posiadaniem schludnych szarych mundurków z chustami, natomiast za nakrycie głowy służył nam korkowy hełm (hełmy takie posiadali wszyscy obowiązkowo), strój dopełniały spodnie i bluzka z długimi rękawami. Hełm chronił głowę przed udarem słonecznym, ponieważ Masindi i cała Uganda leżą na samym równiku. Bluzę i spodnie zwykle nosiliśmy

pod wieczór (od godz. 17.00) i chroniły nas one przed ukąszeniem komarów roznoszących malarię. W południe ludzie i zwierzęta chroniły się w cieniu, aby nie doszło do przegrzania organizmu. Odzież ta szyta była z drelichu bawełnianego w szwalni, o której wspominasz.

Pamiętam wszelkiego rodzaju uroczystości państwowe i patriotyczne, organizowane przez młodzież szkolną, które odbywały się na centralnym placu naszej wioski nr 2, tam to występowaliśmy w swych uniformach. Były to bardzo głębokie przeżycia, np. wtedy, gdy w trakcie mszy polowej podczas podniesienia Przenajświętszego Sakramentu stawiano nas na baczność. Na tym samym placu przypominam sobie kilkanaście, a może i kilkadziesiąt, par tanecznych przemieszczających się w rytm poloneza (dziewczęta ubrane w tiulowe suknie o kolorach pastelowych). Dreszcz przenikał widzów, gdy grupa teatralna recytowała „Dziady” w jasnej księżycowej poświacie na cmentarżysku.

W roku 1946 podjęłam naukę w gimnazjum kupieckim, obok którego funkcjonowało również gimnazjum ogólnokształcące i szkoła zawodowa. Szkolnictwo i harcerstwo w Afryce to były szalenie istotne „instytucje” dla przebywających tam Polaków, ponieważ – tak sądzę – 50% ogólnej liczby to młodzież w wieku do 18 roku życia. Były to rodziny wojskowe, z których mężczyźni po osiągnięciu pełnoletności trafiali do wojska, kobiety częściowo do służby pomocniczej (tzw. pestki). A więc rodzina wojskowa to matka z dziećmi i osierocone dzieci przebywające w sierocińcu. Między sobą wiedzieliśmy, że nasz obóz liczył około 6 tys. osób, oficjalne przekazy podają, że było nas 4 tysiące. Większy obóz od naszego mieścił się w Tanganice (obecnie Tanzania); w sumie w Afryce istniały 22 obozy liczące od kilkudziesięciu do kilku tysięcy osób.

Nauka w gimnazjum, podobnie jak w szkole powszechnej, odbywała się bez podręczników. Pamiętam jedną książkę – katechizm, który wkuwaliśmy na pamięć, a w trakcie odpytywania za zbyt opieszale recytowanie wyuczonego tekstu otrzymywało się od księdza ocenę niedostateczną. Natomiast otrzymanie w tym okresie noty pozytywnej z lekcji religii stanowiło wielkie szczęście i graniczyło niemalże z cudem. Wiadomości przekazywane nam przez na-

uczycieli, zwłaszcza z przedmiotów zawodowych, były niezmiernie cenne i nieraz przydawały mi się w pracy zawodowej. Szczególnie sympatycznie wspominam lekcje prowadzone przez małżeństwo Liviusów. Pani Krystyna była wychowawczynią klasy, do której ucze- szczałam, a pan Livius uczył między innymi arytmetyki handlowej (wiem, że po powrocie do kraju zamieszkali w Warszawie).

Moje świadectwo z gimnazjum wystawione zostało z datą 10 października 1946 r., ponieważ dziesięć dni później opuściłam osiedle, udając się w drogę powrotną do kraju. W Polsce świadec- two to „przehandlowałam” za obowiązującą klasę siódmą szkoły podstawowej, a edukację rozpoczęłam ponownie od pierwszej kla- sy gimnazjum handlowego w Legnicy.

Po przyjeździe do Afryki i po badaniach lekarskich przeprowa- dzonych przez Polaka żydowskiego pochodzenia okazało się, że moje oczy jeszcze na terenie Uzbekistanu zaatakowała groźna cho- roba zwana jaglicą. Rozpoczęła się walka o uratowanie wzroku. Przez cały rok, co zostało odnotowane w karcie pacjenta, dzień w dzień chodziłam do ambulatorium na zabiegi, polegające na od- wróceniu powiek na tzw. agrafkę, wyciskaniu ropnych pęcherzy- ków z równoczesnym polewaniem oka specjalnym płynem leczeni- czym, a następnie lapisowaniem, co oczywiście niezmiernie pie- kło. Cierpienie to przyniosło rezultat w postaci uratowania mojego wzroku.

W trakcie naszego pobytu na kontynencie afrykańskim często byliśmy nękani przez małe pchełki, które pod naszymi paznokcia- mi znosiły jajka. Spośród całej gamy innych dolegliwości tam pa- nujących trzykrotnie chorowałam na malarię, zostałam ukąszona przez muchę najrobską (co ustalono po kilku dniach po zgłoszeniu się Angielki przejeżdżającej przez nasze osiedle, która cierpiała na taką samą dolegliwość). Stopę natomiast zaatakowało żyjątko to- czące pod skórą korytarz o długości 10 cm na dobę i o średnicy przeciętnej wielkości igły. Był on wypełniony przezroczystym pły- nem, który po kilku godzinach zmieniał się w ropną ciecz. Stoso- wane nakłucia, cięcia, jodynowanie oraz zamrażanie nie dawało efektu. W końcu trafiłam do szpitala celem wyleczenia powstałych ran oraz odnowy naskórka. Postawiona diagnoza stwarzała nadzie-

ję na wyeliminowanie intruza w chłodniejszym klimacie, co się też stało, gdy powróciłam do Polski. Tak więc piękna Afryka niosła z sobą wiele niebezpieczeństw.

Pamiętam nasze wyprawy przez około 2 km wąską ścieżyną w dżungli do wielobranżowego sklepu kolonialnego prowadzonego przez Hindusa, zresztą wielu ich było na terenie kolonii angielskich. Sklep ten był naszym jedynym łącznikiem z cywilizacją, tam nabywaliśmy potrzebne artykuły spożywcze i drobne wyroby przemysłowe. Jednego razu zorganizowano nam wycieczkę nad Jezioro Alberta. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, grupa nasza zażyła wówczas kąpieli. Była to pierwsza i jedyna taka kąpiel w czasie pobytu w Afryce. O naszej głupocie dowiedzieliśmy się niebawem, wypływając łodzią motorową na jezioro. Widzę do dziś olbrzymie głowy hipopotamów i drapieżne krokodyle sprytnie przemieszczające się po tafli wody. Widok ten porządnie nas wszystkich wystraszył. Doszło do takiej sytuacji na łodzi, że ze strachu przemieściliśmy się na jedną z burt i nastąpił niebezpieczny przechył, co groziło przewróceniem się. Tylko trzeźwość umysłu części grupy uchroniła nas od niechybnej wywrotki. Z prowadzonej przez jakiś czas po moim wyjeździe korespondencji wiem, że w późniejszym okresie częściej organizowane były wycieczki krajoznawcze.

Pamiętasz, Tosiu, jak budowaliśmy w naszej osadzie kościół z cegły własnej produkcji. Dzisiaj wraz z cmentarzem jest to jedyny ślad naszego tam pobytu. Kościół i cmentarz znajdują się pod opieką ludności tubylczej, dzięki czemu otoczenie tych obiektów jest zadbane. Kilka lat wstecz tamtejsze władze kościelne zaapelowały do budowniczych o pomoc finansowaną na jego remont. Z tego, co wiem, byli mieszkańcy Masindi przebywający poza Polską pozytywnie zareagowali na ten apel.

W pierwszych miesiącach pobytu w Masindi gdzieś w godzinach popołudniowych dostrzegłam, jak ponad dwumetrowy wąż wśliznął się w otwór znajdujący się w ścianie naszego budynku. Poszukiwania go wewnątrz obiektu nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Ktoś udzielił nam informacji, że węże przy zachodzie słońca wychodzą tą samą drogą, którą weszły, i rzeczywiście tak się stało. Podobnie jak ten wąż, tak i ja 20 października 1946 r. wyruszyłam

w drogę powrotną do Polski do jedyne go żyjącego członka mojej rodziny, mianowicie, starszej siostry, z którą nawiązałam kontakt listowny za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża. Na drogę otrzymałam parę ciuszków oraz deputat (wyprawkę) w postaci trzech wełnianych granatowych koców wojskowych i dwóch prześcieradeł. Przedmioty te miałam zapakowane do kosza zakupionego przez Ciebie, Tosiu, w sklepie kolonialnym prowadzonym przez wspomnianego Hindusa. Jak wiesz, zostałam wraz z panią Królową (jadącą do Poznania) dowieziona do oczekujących już od miesiąca w porcie Mombasa ludzi pochodzących z różnych obozów. Był to pierwszy transport z Czarnego Lądu do kraju. Kilkundniowa jazda pociągiem przez Kenię przyniosła mi wiele wrażeń, trasa naszego przejazdu wiodła bowiem przez rezerwat pełen dzikich i egzotycznych zwierząt afrykańskich. Oglądałam i podziwiałam stada pędzących antylop, zebra, bawołów wędrujących gęsiego, słoni, pojedynczych nosorożców i dostojnych żyraf. Pewnego ranka dojechaliśmy do podnóża góry Kilimandżaro, której wierzchołek tonął w śniegu. Pierwszy raz poczułam w trakcie pobytu w Afryce chłód, oczywiście nie licząc ataków malarii. Tak to znalazłam się w Mombasie, gdzie zamieszkałam poza miastem nad zatoką w barakach otoczonych drutem. Najprawdopodobniej był to jeden z obozów, w którym w czasie wojny Anglicy przetrzymywali jeńców włoskich. W czasie, kiedy tam przebywałam, można było spotkać wielu już będących na wolności Włochów, oczekujących na wyjazd do swojej ojczyzny. Tu przeżyłam w błogim nastroju dwa miesiące. Większość czasu spędzałam, jak i pozostałe nastolatki, na małej piaszczystej plaży, znajdującej się w sąsiedztwie naszych baraków. Podziwialiśmy przypyływy i odpływy morza. Tu mogłam się do woli kąpać, dokonując wyczynów grożących utratą zdrowia, a nawet życia. Jednego razu bowiem postanowiłam przepłynąć zatokę. Popłynęłam sama i po pokonaniu 3/4 odległości spostrzegłam, że na wodzie unoszą się plamy oleju wyciekającego z kutrów rybackich. To skłoniło mnie do powrotu. Jaką dokładnie odległość pokonałam, nie wiem, natomiast mówiono mi, że byłam widziana jako nieduży punkt poruszający się na wodzie. Muszę zaznaczyć, że już przed wojną zupełnie swobodnie pływałam w niedużej rzeczce

o nazwie Młynówka na Podolu. Była to rzeka pełna wirów oraz tzw. końskich jam. Pływać nauczyła mnie starsza siostra Anna.

Powoli nastawał czas opuszczenia Afryki. Zanim to miało się stać, musieliśmy przejść szereg szczepień. Fakt ten odnotowany został w odpowiednim dokumencie. Z początkiem trzeciej dekady grudnia wsiedliśmy na „Asturiasa”, zupełnie przyzwoity statek pasażerski bandery australijskiej płynący do Wielkiej Brytanii. Przed podróżą zabrałam spod palm rosnących dziko na terenie obozu trzy orzechy kokosowe jako prezent dla siostry. Jeden z tych kokosów liczy sobie dzisiaj 56 lat i w tym okresie nieraz był pomocą dydaktyczną w czasie zajęć szkolnych, a obecnie zajmuje honorowe miejsce w moim mieszkaniu. W trakcie podróży przez Ocean Indyjski, w miejscu, gdzie łączy się on z Morzem Czerwonym, dostrzeżliśmy od strony wschodniej na tle bajecznie kolorowych gór z przewagą barwy czerwonej miasto Aden. W trakcie podróży przez Morze Czerwone zawinęliśmy do kilku portów, gdzie mali tubylcy, nawet w wieku około pięciu lat, pływali obok statku, prosząc, byśmy podarowane im monety wrzucali do morza. Oni natychmiast wylawiali je z przezroczystej wody w sposób tak zwinny, że kojarzyło mi się to ich zachowanie z małymi delfinkami. Pływali z monetami włożonymi w usta jak chomiki z zapasem pożywienia. Nowy 1947 rok zastał mnie na wspomnianym statku stojącym na redzie portu Suez u wyjścia z Kanału Sueskiego. Mile wspominam chwile, kiedy płynęliśmy Kanałem Sueskim. Oba brzegi były dobrze widoczne, a ludzie idący czy jadący szosą wzdłuż kanału zupełnie dobrze rozpoznawalni. W oddali dało się dostrzec wierzchołki egipskich piramid. Nie wiedzieliśmy, że w noc sylwestrową ważył się nasz dalszy los. Stało się tak, ponieważ Włosi odmówili wpuszczenia nas do swojego kraju z powodu nieposiadania przez nas jakichkolwiek dowodów tożsamości. W zaistniałej sytuacji rysował się nasz powrót do Polski nie przez Włochy, lecz przez Anglię. Udało się jakoś znaleźć polubowne rozwiązanie i tak trafiliśmy do Neapolu, gdzie władze polskiej ambasady w Rzymie wydały nam 31 stycznia 1947 roku czasowe dokumenty tożsamości, które miały zastępować paszporty. W Neapolu wsadzono nas do pociągu i przetransportowano na wschodnie wybrzeże Półwyspu Apeniń-

skiego do miasta Bari. Ulokowani zostaliśmy w halach o kamiennej posadzce i ścianach nie sięgających dachu. Mogły to być hale targowe lub stajnie. Pościeleniem naszym były łóżka polowe. W takich warunkach spędziliśmy miesiąc i było to spowodowane – jak nam mówiono – kwarantanną. W trakcie tego pobytu spadł niewidziany od dłuższego czasu śnieg. Okazało się, że jestem zupełnie nie przygotowana na takie warunki atmosferyczne. Szczękałam zębami i tupałam nogami, aby się rozgrzać, jako że moim obuwiem były sandały, nie posiadałam nawet cienkich pończoch, a wierzchnim okryciem był czarny sweterek zrobiony osobiście jeszcze w Afryce. W konsekwencji doszło do odmrożenia obu nóg, co mi uprzykrzyło życie przez kilka dalszych lat. Nie zastanawiając się wiele, wycięłam z jednego z posiadanych kocy prymitywne pajacowate spodnie, które zszyłam ręcznie.

Dalszy etap podróży odbyłam wraz z innymi osobami kolejną w towarowych wagonach wzdłuż Adriatyku i dalej przez Austrię i Czechosłowację do stacji granicznej Dziedzice. Tam to 11 lutego 1947 roku zostałam zarejestrowana w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym – byłam w domu.

Zobacz, Tosiu, co za zbieg okoliczności! 10 lutego 1940 roku zostaliśmy wspólnie wywiezieni z naszego rodzinnego Kałusza na Syberię i po upływie 7 lat i jednego dnia powróciłam do domu sama, bez rodziców i brata Edzia, na obce ziemie, zwane wtedy Ziemiami Odzyskanymi. Przejazd z Dziedzic do Żąbkowic Śląskich, położonych na Dolnym Śląsku, gdzie mieszkała moja siostra, trwał około trzech dni. Spowodowane to było faktem, że pociągi jeździły przeladowane i miałam wiele trudności, by się dostać do któregoś z nich. Podróż tym bardziej męczyła, że tamtego roku zima była mroźna i śnieżna.

Ta garść wspomnień to zaledwie epizody tego, co przeżyłam w dalekiej Afryce w czasie czteroletniego tam pobytu, i to, co pozostało w mej pamięci po upływie pięćdziesięciu trzech lat. Długa i znaczone licznymi mogiłami była ta droga do domu.

Wrocław, luty 2001 r.